

Agnieszka Opolska

„Anna May”

*fragment*

Schodziłam po schodach niczym indyk o przydługich kończynach. „Jak ja dojdę do domu?” – płakałam w myślach, ale zacisnęłam wargi, starając się zignorować ból pięt. Szłam tak szybko, jak tylko byłam w stanie, ciągle mając na sobie te dziurawe pończochy. W sumie za bardzo się ochłodziło, żeby je zdejmować. Dni były jeszcze zaskakująco ciepłe, ale wieczorami temperatura spadała do kilku stopni. Czuło się nadchodzącą zimą.

Zachciało mi się ryczeć, kiedy pomyślałam, co mogłabym zrobić ze stową wydaną tak bez sensu. Teraz ja postanowiłam zadrwić z pończochy. Weszłam do sklepu przy Piłsudskiego i kupiłam wino za ostatnie trzydzieści jeden złotych, które znajdowały się w mojej portmonetce. Dobrze, że zaraz weekend i będę mogła wydzielić sobie kolejną porcję gotówki do wydania w przyszłym tygodniu. Strach pomyśleć, jak szybko upłynąłabym pieniądze, gdybym pozwoliła sobie na posługiwanie się kartą przy drobnych wydatkach. Na szczęście na moim koncie jest jeszcze co nieco, które zawsze ratuje mnie w nagłych wypadkach. „Na przykład takich jak dziś” – stwierdziłam zgryźliwie w duchu, spojrzawszy na wino, i ruszyłam do domu z mocnym postanowieniem nieprovokowania kolejnych „nagłych zdarzeń”, zmuszających mnie do nieplanowanych wydatków. W przeciwnym razie wkrótce zostanę zupełnie bez grosza przy duszy. Oraz na koncie.

Po pół godzinie marszu otworzyłam drzwi naszej kamienicy. Na parterze z ulgą zdjęłam buty i wbiegam lekko na czwarte piętro. Kamienica była stara, ale w niezłym stanie. Najlepsze mieszkanie, jakie mieliśmy od początku studiów. Pomarańczarnia – tak je nazywaliśmy. Należała tylko do nas. Na Świętokrzyskiej nie było tak źle, ale musieliśmy znosić niespodziewane odwiedziny właściciela, który po imprezach nie wracał do swojego domu na obrzeżach miasta, tylko spał w naszej hiperciasnej kuchni. Nigdy nie zapomnę tych wystających spod stołu stóp i gimnastyki, jaką trzeba było wykonywać, by otworzyć lodówkę.

Stan Pomarańczarni był katastrofalny. Zanim się wprowadziliśmy, musieliśmy przeprowadzić generalny remont, na który właściciel się nie zgodził. Nie mieliśmy innego wyboru, jak wyłożyć pieniądze z własnych kieszeni. Musiało nam wystarczyć samodzielne pomalowanie ścian. Pomarańczarnia zyskała swoją nazwę od ich koloru. Uznaliśmy, że jest ciepły i optymistyczny, a Lukasowi kojarzył się ze świętami Bożego Narodzenia. W czasie, kiedy malowaliśmy, bardzo potrzebowałam tego optymizmu... Do wnętrza wchodziło się przez balkon, do którego nie mieli dostępu inni lokatorzy. Właśnie on był głównym powodem, dla którego zdecydowaliśmy się na to mieszkanie.

Stałam przy przeszkłonych drzwiach prowadzących do

kuchni. Usłyszałam głośny śmiech Lukasa. Rozmawiał przez telefon. Wyciągnęłam papierosa i nasłuchiwałam, próbując domyślić się, z kim rozmawia. Mówił coś o zwariowanym profesorze z jego uczelni i znów wybuchnął śmiechem. Schowałam fajkę z powrotem do paczki i weszłam do mieszkania. Usiadłam przy stoliku i gapiłam się na dziurę w pończosze, która dalej śmiała się ze mnie bez skrępowania, obnażając kawałek uda. Była widowym śladem mojej głupoty, żalną próbą powrotu... Ze szczytu jajowatego oczka zwisała sobie pofalowana nitka, rżąc ze śmiechu. Pociągnęłam za nią. Oczka leciały, aż zaświeciło gołe kolano, i wtedy spostrzegłam mnie Lukas.

22

– Muszę kończyć – rzucił krótko do telefonu. – Cześć – powiedział i gapił się na to, co zrobiłam z podłą pończochą.

– Cześć. Co u ciebie? – zapytałam jakby nigdy nic.

– Chyba wolałbym zapytać ciebie o to samo.

– Doskonale. – Wyciągnęłam wino z torby, a on uniósł brwi.

– A to co? – Wymownie spojrzął na moją nogę.

– Cholerna dziurawa pończocha – powiedziałam z teatralną manierą.

Parsknęłam śmiechem, co było dla Lukasa wystarczającym dowodem na to, że nie ma się o co martwić. Wyluzował. Usiadł obok i zaplótł swoje bocianie nogi, jakby wiązał je w supeł. Jego przykrótkie spodnie podjechały do góry, do połowy obnażając owłosione łydki.

– A ty? Jak twój dzień?

– Za dobrze. – Na jego twarzy znów pojawił się ten uśmiech, niczym banan rozszczepiający mu twarz na połowę. Wyszczrzył zęby, odsłaniając charakterystyczną furtkę między jedynekami. Zaniepokoiłam się. Ten przesadzony uśmiech mógł wróżyć tylko kłopoty.

– Niech zgadnę. Poznałeś kogoś?

– Poznałem. Nowa osoba na zajęciach u profesora Zubrzyckiego.

No wiesz... Tego, co chodzi w muszce w grochy.

Kiwnęłam głową. Lukas ekscytował się dalej:

– Ma na imię Marek. Jest z Warszawy. Przyjechał na wymianę międzyuczelnianą. Usiadł obok mnie i zgadaliśmy się. Pożyczył ode mnie notatki! – Głos drżał mu z podekscytowania i ledwo łapał powietrze.

– Lukas, a on wie?

– Co wie? Że to...? Nie. – Roześmiał się i potrząsnął głową. –

Nie, to nie tak. To kolega. Tylko gadaliśmy.

Nie skomentowałam tego. Zawsze było tak samo: gadka szmatka, potem się zakochiwał i wdychał do faceta z odległości, a ja musiałam o tym słuchać miesiącami.

Lukas był moim najlepszym przyjacielem. Studiował filozofię na czwartym roku. Nie znałam dotąd nikogo tak błyskotliwego i bystrego. Autentyczny geniusz. Jego pasją było zgłębianie filozoficznych teorii Jaques'a Derridy czy Jürgena Habermasa. Wiedza sama wchodziła mu do głowy. Czasami było to naprawdę denerwujące, szczególnie kiedy mieliśmy sesję i Lukas całymi dniami oglądał

telewizję, podczas gdy ja wkuwałam. On zaliczał wszystkie egzaminy najlepiej na swoim roku, a ja tylko dobrze.

Lukas był na swój sposób przystojny, choć nie rozbrajał wyglądem.

Miał ciemne włosy, które – w ramach oszczędności czasu i pieniędzy – obcinał sam. Zazwyczaj dlatego z tyłu były długie, a z przodu bardzo krótkie. Fryzjera odwiedzał w ostateczności i strzygł się na zapałkę, by jak najdłużej do niego nie wracać.

Powalał za to inteligencją, a nie w każdej sytuacji było to pożądane. Zawsze mu doradzałam, żeby w zwykłych dyskusjach trzymał swoją wiedzę dla siebie, przynajmniej dopóki nie zorientuje się, kto jest jego rozmówcą. Interlokutorzy Lukasa mieli wielkie szanse na to, by poczuć się jak idioci.

Oparłam się ręką o blat stołu i patrzyłam na butelkę wina.

– Zmęczona? – zapytał Lukas. – Chwila, chwila... Jest czwartek...

Pokaż się... Makijaż... I twoje włosy są okiełznane. I bluzka...

Czy to przypadkiem nie jest ta od...

– Tak, to ta od matki. Kolekcja Chanel.

– Anna, coś się dzieje. Miałaś egzamin?

– Nie, na razie jest luz. No, prawie. Szurnięty doktor Vendetta zapowiedział kolokwium na jutro, więc muszę się pouczyć.

– O nie, teraz nigdzie nie uciekniesz. – Zatrzymał mnie, kiedy wstawałam. – No to jak? Z jakiej okazji to wszystko? Czyżbyś wreszcie się z kimś umówiła?

– Nie! – przerwałam mu.

Moje policzki poczerwieniały. „Teraz to już na pewno nie da mi spokoju” – pomyślałam. Westchnęłam i powiedziałam mu prawdę:

– Byłam umówiona na rozmowę o pracę. W agencji reklamowej szukali modelki, a skoro pracowałam kiedyś w tej branży, pomyślałam, że w obliczu mojej katastrofy finansowej mogłabym sobie dorobić. Lukas popatrzył na mnie ze zdumieniem, a jego oczy przypominały teraz dwa spodki. Nastąpiła chwila ciszy. Długo trwało, zanim coś z siebie wydusił.

– Pracowałaś jako modelka?! – pisał prawie, jak zawsze, gdy się czymś ekscytował.

– Stare dzieje... – Nie czułam się gotowa na tę rozmowę. –

Lukas, to było dawno temu. Potrzebuję pieniędzy. Nie mówiłam ci, ale w zeszłym miesiącu dostałam list. Zajęto moje angielskie konto z oszczędnościami... Na szczęście przelałam trochę kasy, zanim to

24

wszystko się stało. Mam jeszcze oszczędności na bieżące wydatki na polskim koncie, ale to za mało, żeby się utrzymać.

Teoretycznie nie musiałam się martwić do końca listopada, ale potem konieczne było znalezienie jakiejś pracy. W praktyce byłam przerażona.

– Może powinnaś sprzedać wasz dom w Londynie? – Lukas wyglądał na bardzo zmartwionego.

– Podejrzewam, że w tym temacie nie będę miała zbyt dużo do powiedzenia. Bank zajął wszystko.

– To brzmi poważnie... Skąd ty masz takie długi? – dziwił się.

– Zobowiązania... I moja matka trochę namieszała...  
Westchnął ciężko.  
– Jeśli bank sprzeda dom, da ci spokój?  
– Prawdopodobnie...  
– Chociaż tyle. A co z tą pracą modelki?  
Odwróciłam głowę.  
– Nici – powiedziałam.  
– No co ty! Mogłabyś być świetna! Jesteś taką dużą tyczką, twarz masz nie najgorszą, można powiedzieć: ładną. Tylko nie pomyśl sobie, że mi się podobasz. – Próbował żartować.  
– Tak, wiem... A ta praca to niewypał. Okazało się, że to nie agencja, a jakiś malarz szukający modelki do cyklu obrazów.  
– Oooo! – zawołał zaciekawiony. – Przystojny?  
– Proszę cię. Jeśli pytasz, czy jest gejem, nie wiem.  
– Nie. Zapytałem, czy jest przystojny.  
Zastanowiłam się, zanim odpowiedziałam.  
– Trudno powiedzieć. Wyglądał, jakby wyszedł z tuby farby, w której siedział przez ostatni miesiąc.  
Uśmiechnęłam się, przypominając sobie jego zarost, okropne włosy, brudne ubranie. Z pewnością nie był to facet, któremu zależało na robieniu dobrego wrażenia.  
– Zgodzisz się?  
– Nie. To nie dla mnie – ucięłam. – Muszę wziąć prysznic i zabrać się do nauki. – Zmieniłam temat.  
– Należę nam winka. Może coś upichcę?  
Mrugnął okiem, kiedy wstałam. Poszłam do swojego pokoju.  
– Mówiłam ci, że nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła? – powiedziałam, stojąc w drzwiach.  
– Setki razy. – Uśmiechnął się wesoło.

25

k

Stałam przed lustrem w łazience i patrzyłam na swoją twarz, jakby nie była moja. Wlepiały się we mnie pomalowane oczy, które wyglądały jak węgle na tle jasnej skóry. Włosy wróciły do naturalnego koloru – podpalanego brązu. Ostatni raz ścięłam się na zapałkę dwa lata temu. Teraz, sprężyste jak struny, sięgały za łopatki.  
– Wróciłaś, co? – szepnęłam do odbicia, które tak bardzo przypominało matkę.  
Stałam na wadze. Sześćdziesiąt kilogramów. „Po co to robię?”  
– pomyślałam ze złością i przesunęłam ją stopą pod ścianę.  
Nie ważyłam się, odkąd widziałam się z nią ostatni raz. Łzy napłynęły mi do oczu. Nie przypuszczałam, że to będzie takie trudne, szczególnie po tym wszystkim. Znowu zadzwięczały mi w uszach jej słowa: „Przestań się już mazać, takie jest życie. Umyj się i umaluj, masz sesję wieczorem!”. Potem moja wściekłość, krzyk i jej lodowate: „Przestań!”. Trzask drzwi za jej plecami. Moje pakowanie się w pośpiechu i chaotyczna ucieczka. Odłączenie. A gdybym mogła cofnąć czas? Czy zmieniłabym swoją decyzję o wyjeździe z Londynu? Nie. Ale zmieniłabym jedno – nie czekałabym tak długo, żeby spróbować naprawić nasze relacje.

Wytarłam łzy razem ze wspomnieniami. „Poradziłam sobie, do jasnej cholery” – szeptałam w duchu. Byłam zmarznięta. Nasza fantastyczna łazienka bez ogrzewania... Boże, do czego człowiek może się przyzwyczaić. Gdyby nie niski czynsz, chyba nie byłabym w stanie dłużej tego znieść. Potrzebowałam choćby pięciu minut bezpieczeństwa, nawet pod postacią przyjemnie ciepłego kaloryfera.

Cierpliwie operowałam kurkiem, zanim woda stała się przyjemnie gorąca. Stałam pod strumieniem. Spływały ze mnie stres i zmęczenie całego dnia. Oparta o ścianę rozluźniałam mięśnie i oddychałam głęboko. Nic poza relaksującym szumem.

W jednej sekundzie woda stała się lodowata.

– Lukas, zabiję cię!

– Przepraszam! – zawołał wesoło. – Zupełnie zapomniałem...

Robię kolację! Gotuję makaron... Do winka...

Weszłam do kuchni. W powietrzu unosił się zapach spalonej cebuli, a na stole dymiło spaghetti bolognese. Lukas stał

26

w pobrudzonym fartuszku. Gdy tylko mnie zobaczył, uśmiechnął się i niczym szef kuchni ucałował drewniany, trójzębny widelec. „Ups, nie mam wyjścia” – pomyślałam, nastawiając się na sztuczne zachwyty jego daniem. Uniosłam widelec z nakręconym makaronem, czując na sobie wyczekujące spojrzenie Lukasa. Można było powiedzieć o nim dużo dobrego, ale na pewno nie to, że potrafi gotować.

Jego pierwszą potrawą, jaką dla mnie przyrządził, były pierogi z truskawkami zakupione w najbliższym dyskoncie spożywczym, nieopodal naszego starego mieszkania. Boże, to było paskudne!

Spróbowałam spaghetti i zamruczałam. Wcale nie musiałam kłamać.

– Lukas, to jest naprawdę dobre!

Spaghetti rozpływało się w ustach. Sos był dobrze doprawiony, nie za pikantny, ale i nie mdły. Do tego cudnie ciągnący się ser...

Nie do wiary, że on to ugotował. Jadłam z apetytem, popijając czerwonym winem. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że był to mój pierwszy posiłek tego dnia. I gdy tak wciągałam kluski, przypomniałam sobie o świstku papieru od Northona.

– Muszę coś sprawdzić.

Uniósł brwi.

– Zjedz raz w spokoju – poprosił, a w jego głosie było rozczarowanie.

– Naprawdę mi smakuje... – tłumaczyłam, ale nie mogłam usiedzieć na miejscu.

Wstałam i zaczęłam przeszukiwać torebkę. Wewnątrz wyglądała jak śmietnik pełen zepsutych rupieci. Poirytowana, wysypałam je na podłogę.

– Wiesz, to nie jest normalne – skwitował Lukas.

Na podłodze leżały moje potłuczone kosmetyki, ulotki, ledwie nadgryziony obwarzanek z sezamem, ołówki i zakreślacze, bilety kolejowe, pognieciony papieros, ogryzek jabłka zawinięty w foliową jednorazówkę, notatnik, pokrowiec z okularami do czytania, kilka gumek do włosów i oczywiście Tatarkiewicz – biedny,

cały w okruszkach z obwarzanka. Była też mała kartka. Pomięta, wystawała zza książki. Rozwinęłam ją. „Co to jest?” – zastanawiałam się.

– Co to jest? – Lukas wypowiedział moje pytanie na głos.

– Pan malarz wręczył mi to na odchodne.

27

Jego oczy zabłyszczały z zaciekawienia. Na kartce zapisany był adres: adamnorthon\_attempts.com.

– Daj komputer! – zarządził Lukas.

Włączyliśmy mojego starego maca i wpisaliśmy w przeglądarkę adres. Po chwili ze zdziwieniem otworzyliśmy usta, patrząc w ekran.

– Niezły ten twój malarz – zauważył Lukas.

– On nie jest mój – ucięłam.

Na ekranie komputera było kilka obrazów: kontury kobiet w różnych pozach i strojach. Kolory falowały, rozpływały się i rozmazywały, tworząc niezwykle tło. Spod ubrań widać było zarysy ciała, fragmenty odkrytych piersi. Szkice wykonano czarnym tuszem, który w połączeniu z akwarelą tworzył niekontrolowane, rozlewające się plamy. Było w nich coś niesamowitego, lekkiego i przejmującego zarazem.

– Muszę się uczyć. – Przerwałam i zamknęłam laptopa. – Idę do siebie.

– Może najpierw skończ swoje spaghetti?

– Nie jestem już głodna.

– Wiedziałem, że tak będzie. A dzieci w Rwandzie głodują.